



BRACIA GRIMM

BAŚNIE

WYDANIE PIĄTE

BRACIA GRIMM

BAŚNIE
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

WYDANIE PIĄTE

WEDŁUG ORYGINAŁU NIEMIECKIEGO

OPRACOWAŁA CECYLIA NIEWIADOMSKA

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Bracia Grimm
„Baśnie”

Copyright © by Bracia Grimm, 1940
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Tłumacz: Cecylia Niewiadomska
Druk: Drukarnia Przemysłowa E. Podgórczyka i Sp
Wydawnictwo: Gebethner i Wolff
Kraków, 1940

ISBN: 978-83-8119-319-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

.....

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki...

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów — —
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów...

El...y.

Porzućmy na chwilę bity gościniec wiedzy, rzeczywistości
i prawdopodobieństwa i pozwólmy pobujać trochę wyobraźni w mglistej, ale
uroczej krainie fantazji.

DARY KARZEŁKÓW

Pewna wdowa miała córkę jedynaczkę, która bawiła się

zwykle z córką sąsiada, wdowca.

Razu jednego wdowa zawołała obie dziewczynki, dała im chleba z miodem i rzekła do obcej:

— Idź, powiedz ojcu, że jeśli się ze mną ożeni, to będziesz się co dzień rano myła w mleku i wino zamiast wody pić będziesz; a moja córka zawsze w wodzie będzie się myła i wodę czystą będzie piła.

Dziewczynka powróciła do domu i powtórzyła ojcu wszystko, co jej mówiła sąsiadka. Wdowiec zamyślił się sam i nie wiedział, jak ma postąpić. W końcu rzekł do córki:

— Zdejm ten dziurawy trzewik, powieś na gwoździu i wlej do niego wody. Jeśli woda przecieknie, nie ożenię się wcale; jeśli zostanie w trzewiku, niech będzie, jak chce sąsiadka.

Dziewczynka wypełniła wolę ojca, ale pęknięta skóra zgrubiała od wilgoci i nie przepuściła ani kropli wody.

Wdowiec pokiwał głową i powiedziawszy sobie, że takie jest przeznaczenie, udał się do sąsiadki i ożenił się z nią wkrótce.

Nazajutrz po weselu wstała macocha wcześniej i dla córki męża naląła mleka do mycia na miseczkę, a szklanekę gorącego wina podała jej na śniadanie; swojej zaś córce podała szklanekę czystej wody i w czystej wodzie umyć się kazała.

Ale dnia następnego już dla obu dziewcząt stała woda do mycia i woda do picia; a na trzeci dzień córka wdowy piła wino, myła się w mleku, a mężowska córka w wodzie się myła, wodę czystą piła.

I tak już odtąd pozostało.

Coraz bardziej nienawidziła wdowa pasierbicy, choć ta pracowała pilnie przez dzień cały i posłusznie spełniała

wszystkie jej rozkazy, nosząc wodę i drzewo, zmiatając izbę, pieląc w ogrodzie, piorąc i gotując — gdy tymczasem córka wdowy siedziała za piecem lub przed domem na ławie, grzała się na słońcu i wymyślała coraz nowe prace dla swej przybranej siostry. Była jednak przyczyna tej nienawiści złej kobiety i jej córki: obie były bardzo brzydkie, a biedna pasierbica piękniała z dniem każdym jak różyczka, która rozwija się z pączka.

Nadeszła zima, mroźna i surowa: gruby śnieg pokrył góry i doliny; drzewa białe, szronem okryte, lśniły w promieniach słońca jak osypane brylantami; w lesie nagie gałęzie uderzały o siebie, a wiatr huczał ponuro jak zapowiedź śmierci. I zdawało się, że wszystko zamarło pod jego tchnieniem lodowatym; ani lot ptaka, ani szmer owadu, ani żaden listek zielony nie przypominały pięknej i uroczej wiosny — wszędzie było cicho, biało, pusto, zimno.

Zła macocha uszyła sukienkę z papieru, ubrała w nią pasierbicę, włożyła jej kawałek suchego chleba w koszyczek i kazała iść do lasu po poziomki.

Dziewczę spojrzało na nią z przerażeniem.

— Ależ, mammo! — zawołała — teraz w lesie nie ma poziomek, skądże ich wezmę? I dlaczego mam iść w tej sukni? Tak zimno na dworze, śnieg pokrył ziemię, mróz oddech tamuje! Po co ja pójdę?

— Śmiesz mi się sprzeciwiać? śmiesz mnie nie słuchać, niegodziwa dziewczyno! Precz mi z oczu natychmiast i żebyś się nie poważyła wracać bez jagód, bo cię nie wpuszczę do domu.

To powiedziawszy za drzwi ją wypchnęła i uśmiechnęła się złośliwie myśląc: zmarznie na mrozie w tej papierowej sukni i nie będę przynajmniej więcej patrzyła na nią.

Biedna dziewczyna zapłakała głośno, lecz widząc, że to nie wzruszy złego serca macochy, uspokoiła się wkrótce, i aby się rozgrzać, pobiegła prędko po śnieżystej drodze. Do lasu niedaleko było od ich chaty, ale choć oglądała się na wszystkie strony, nigdzie ani poziomek, ani nawet trawki zielonej dostrzec nie mogła.

— Śliczny jest ten śnieg biały — pomyślała sobie — gdy patrzeć nań przez okno z ciepłego pokoju lub przynajmniej mając na sobie ciepłe futerko, lecz dla mnie biedaczki...

I łzy zasłoniły jej oczy, bo zdawało jej się, że ten śnieg biały będzie jej pościelą, na której się położy, aby nie wstać więcej. Do domu nie śmiała wracać, mróz przejmował ją coraz bardziej, głód dokuczał i łezki nawet marzły i jak brylanty staczały się po jej twarzy.

Nagle w oddali pomiędzy drzewami ujrzała chatkę. Przez maleńkie okienko widać było, że ogień pali się na kominku, więc pobiegła co tchu w tę stronę prosić dobrych ludzi, ażeby się jej rozgrzać pozwolili.

Zapukała nieśmiało, a kiedy jej wejść pozwolono, otworzyła drzwiczki maleńkie i ujrzała przed sobą trzech karzełków siedzących przy małym stoliczku. Myślałaby, że to dzieci, gdyby nie ich twarze z brodami aż do pasa i długimi wąsami. Na głowach mieli czerwone, wysokie czapeczki, na nogach żółte buty, które przy niebieskich kożuszkach wyglądały bardzo ładnie. Wszystko tu podobało się dziewczynce: i rumiane, wesołe twarze gospodarzy, i małe sprzęty, i przyjemne ciepło, które ją ogarnęło, gdy próg przestąpiła; nie śmiała jednak nic mówić i uśmiechnąwszy się tylko, pozdrowiła uprzejmie wszystkich trzech karzełków i cichutko usiadłszy przed wesołym

ogniem wyjęła chleb z koszyczka i jeść go zaczęła.

— Dajże i nam kawałek — rzekł jeden z karzełków widząc jak smacznie zajada.

Dziewczynka była głodna, lecz ucieszyła się bardzo, że może się wywdzięczyć za gościnne przyjęcie, więc spiesznie odłamała trzy kawałki chleba i nie zważając na to, że jej niewiele zostało, poczęstowała grzecznie małych ludzi.

— Moje dziecko — rzekł drugi — co ty robisz w lesie w papierowej sukience w taką mroźną zimę?

— Szukam poziomek — odparła dziewczynka; — macocha nie pozwoliła mi wracać do domu, dopóki nie nazbieram pełnego koszyka.

Wtedy trzeci karzełek podał jej łopatkę mówiąc łagodnie:

— Skoro się ogrzałaś, to idź teraz na podwórze i odrzuć tą łopatką śnieg od ściany z tamtej strony, bo całkiem drzwi nam zasypał.

Dziewczynka westchnąć nie śmiała, żeby nie pomyśleli, że niechętnie spełnia posługę; wzięła podaną łopatkę i wybiegła na podwórze.

— Jakież to dobre dziecko — rzekł jeden z karzełków, — czymże ją obdarzymy za ten chleb, którym tak chętnie podzieliła się z nami, choć sama była głodna?

— Niech co dzień będzie piękniejsza — odezwał się jeden — niech będzie zawsze niewinna i dobra i wszyscy dobrzy ludzie niechaj ją kochają.

— Niechaj będzie bogata — dodał drugi, — niech złoto lub drogi kamień pada z ust jej za każdym słowem.

— Niech ją zobaczy król młody i piękny i niech się z nią ożeni

— szepnął trzeci. — Niechaj będzie szczęśliwa!

Tymczasem dziewczynka szybko odgarniać zaczęła śnieg od ściany domku, lecz zaledwie kilka razy odrzuciła go łopatką, ujrzała zieloną trawkę i czerwone, wielkie, dojrzałe, prześliczne poziomki. Uszczęśliwiona, obiema rączkami spieszenie zbierać w fartuszek zaczęła, a kiedy miała dosyć, wróciła do chatki, podziękowała za wszystko karzełkom i napełniwszy po brzegi koszyczek pachnącymi jagódkami wesoło biegła do domu.

— Dzień dobry, mamó, oto są poziomki! — zawołała stojąc na progu, a w tejże chwili śliczna kulka złota, perła i diament padły z ust jej na podłogę.

Zdziwiona macocha wzięła z rąk jej koszyk i wypytywać zaczęła o wszystko, a gdy pasierbica mówiła, za każdym wyrazem złoto lub drogi kamień z ust jej padał.

— Co to jest? — zawołała zdziwiona córka macochy. — Co tu rozsypujesz po podłodze? Takie skarby! Jak możesz być tak marnotrawna!

W duszy jej jednak powstała zazdrość tak gwałtowna, że postanowiła iść sama po poziomki do lasu i zdobyć podobne szczęście. Matka sprzeciwiała się temu z początku, w końcu jednak musiała ustąpić jej naleganiom i gorącym prośbom.

Ubrała więc swą pieszczotkę w aksamitną szubkę, podbitą futerkiem, włożyła jej na nogi ciepłe, futrzane buciki, na głowę śliczny kapturek, dała chleba z miodem na drogę i wysłała do lasu.

Dziewczynka szła powoli, bo ciepło jej było i przechadzka nie sprawiała jej żadnej przykrości; myślała przy tym, co by mogła dostać od karzełków droższego niż przybrana jej siostra. Ujrawszy z dala ich maleńką chatkę przyspieszyła kroku

i wbiegła do środka nie pytając o pozwolenie.

Brodaci gospodarze jak poprzednio siedzieli przy stoliku grając sobie w kości. Dziewczynka na ich widok przelękła się trochę, gdyż nie miała czystego sumienia, i udając, że ich nie widzi, zasiadła przy ogniu, wyjęła chleb z koszyka i z apetytem jadła.

— Podziel się z nami, dobra dziewczeczko — uprzejmie odezwał się jeden z karzełków.

— Dałabym wam chętnie, ale jestem głodna i sama mam bardzo mało — odparła, gdyż chleb z miodem lubiła nad wszelkie przysmaki i czuła się rzeczywiście niezmiernie zgłodniała po dość dalekiej przechadzce.

Wkrótce nasyciła się zupełnie, a że gorąco jej było, więc rzekła niecierpliwie do karzełków:

— Przyszłam tutaj po poziomki, napełnijcie mi ten koszyczek, bo noc się zbliża i muszę się spieszyć do domu z powrotem.

— Weź pierwiej tę łopatkę i odgarnij śnieg od domu, bo go zasypał aż po okna — przemówił drugi karzełek.

Dziewczynka na to pogardliwie wzruszyła ramionami.

— Nie jestem niczyją sługą! — zawołała dumnie. — Mama powiada, że nie potrzebuję sama zajmować się żadną robotą i nie po to tu przyszłam, żeby wam usługiwać. Myślałam, że jesteście dobre, poczciwe karzełki i że mi dacie poziomki, ale widzę, że chcielibyście, abym za was pracowała. No cóż, dacie mi poziomki?

— Nie mamy ich dla ciebie — odpowiedzieli razem, a rozgniewana dziewczynką wybiegła z ich chatki, aby wrócić do domu i poskarżyć się matce.

— Jakąż pamiątkę damy tej zazdrośnicy chciwej, leniwej i bez serca? — spytał po jej odejściu jeden z małych ludzi.

— Niech będzie co dzień brzydsza. Niech wszystkie jej wady widoczne będą w jej oczach i twarzy — rzekł pierwszy.

— Niech wstręt budzi we wszystkich — odezwał się drugi — niechaj z każdym wyrazem brzydkiego gad z ust jej wypada.

— Niechaj ją spotka wkrótce zasłużona kara, niech nie dozna szczęścia na ziemi — dodał trzeci karzełek.

A córka macochy wbiegła rozgniewana do domu, w kącie rzuciła koszyczek i zaczęła opowiadać o niegrzeczności karzełków. Wtem żaby, jaszczurki, ropuchy z ust jej sypać się zaczęły; rodzona matka z przestraszeniem uciekła, a szkaradne stworzenia napełniły izbę, w której lamentowała zazdrosna dziewczyna.

Od tego czasu macocha i jej brzydka córka jeszcze bardziej nienawidziły pasierbicy i choć bogaciły się co dzień klejnotami, które z ust jej padały za każdym wyrazem, przemyślały jednak, jakby jej się pozbyć i życia ją pozbawić. Dnia pewnego, gdy od mrozu drzewa pękały i oddech zamarzał w powietrzu, zła macocha wybrała całą płachtę bielizny, dała dziewczynie siekiere i kazała iść do rzeki wyrąbać przerębel i pracować na lodzie.

Biedna pasierbica ani jednego słowa przemówić nie śmiała, wzięła siekiere i płachtę z bielizną, wyrąbała przerębel w rzece koło mostu i pracować zaczęła.

Pierze. Łzy padają na mokre chusty, ręce pękają od mrozu i krwawią białe płótno, lecz ona wciąż pierze. I nie słyszała nawet, że król z liczną świtą jadąc przez most zobaczył dziewczynę na lodzie i kazał zatrzymać konie.

— Co tu robisz, moje dziecię? — rzekł do niej łagodnie.

— Bieliznę piorę w rzece — odparła zmieszana, a kiedy to mówiła, rubin, szmaragd i diament z ust jej upadły.

Król patrzy na dziewczynę, świeżą jak pączek róży, na jej załzawione oczy, zakrwawione ręce, na klejnoty, co z ust jej za każdym słowem padają, i podobała mu się bardziej, niż wszystkie księżniczki i królowny, jakie znał dotąd.

— Czy masz rodziców, śliczne dziewczę? — spytał.

— Mam ojca i macochę — odrzekła nieśmiało, — ale ojciec po świecie pracy szuka, a macocha...

Nie chciała się uskarżać, więc nic nie powiedziała, ale młody król spojrzał na jej pokrwawione ręce i domyślił się wszystkiego.

— Czy chcesz pojechać do mnie i zostać moją żoną? — odezwał się po chwili namysłu. — Widzę, że pracowita jesteś i dobra, a piękniejszej darmo bym szukał po świecie.

Dziewczynka aż klasnęła w ręce, tak się ucieszyła, lecz zaraz zawołała ze smutkiem:

— Jakże ja mogę usiąść obok króla w takiej mokrej spódniczce, tak ubogo ubrana? Czyż tak wygląda królowa?

Król uśmiechnął się na te jej słowa, sam wyciągnął do niej rękę, dopomógł wsiąść do karety, posadził obok siebie i własnym płaszczem otulił; a nim przyjechali do królewskiego zamku, tyle klejnotów leżało w karecie, że najbogatsza księżniczka nie przyniosłaby z sobą takich skarbów.

W krótkim czasie odbyło się wesele szczęśliwej pary; ojciec dziewczynki dostał miejsce na królewskim dworze, a macocha i jej córka choć się pokazać nie śmiały, mieszkały również w pobliżu królewskiego zamku i od młodej królowej hojne

otrzymywały dary.

Dobra królowa w szczęściu i radości zapomniała o wszystkim, co wycierpiała w domu i litując się nad swoją przybraną siostrą, zmuszoną unikać ludzi z powodu swej wstrętnej wady, starała się podarunkami osłodzić jej życie, przejednać niechęć i zazdrość. Młody król nawet widząc, że sprawia tym przyjemność żonie, grzeczny był dla jej macochy, choć w duszy nie lubił szczerze tej fałszywej baby, o córce jej zaś nie wiedział zupełnie. Młoda dziewczyna nie chciała się pokazywać, więc prosiła, by o niej nie wspomiano wcale.

W rok po ślubie młody król pojechał na wojnę, bronić granic swego państwa przed potężnym wrogiem, a tymczasem królowej urodziła się córeczka. Zła macocha skorzystała z nieobecności króla, pospieszyła do zamku z córką, a gdy nie było nikogo w królewskiej komnacie, przy pomocy złej dziewczyny wyrzuciła nieszczęśliwą pasierbicę z wysokiego okna w nurty bystrej rzeki, swoją zaś córkę spieszenie przybrała w szaty królewskie i kazała jej udać chorą, by nikt nie zbliżał się do niej.

Tego właśnie dnia wieczorem król powrócił z wojny, a ucieszony widokiem ślicznego dzieciątka, zapragnął uściskać żonę, choć macocha starała się go przekonać, że chorej królowej zaszkodzić może widzenie się z mężem. Nie mogąc mu się jednakże sprzeciwić wpuściła go do pokoju, oświetlonego słabo jedną małą lampką. Chora z głową ukryta w puchowe poduszki nie otworzyła oczu na powitanie męża, który też zaniepokojony jej bladością, oddalił się w milczeniu.

Okolo północy stara piastunka, czuwająca przy dziecku, usłyszała ciche kwakanie za progiem, a gdy drzwi otworzyła,

śliczna biała kaczka ze złotym czubkiem weszła do pokoju, zbliżyła się do kołyski i spytała cichym głosem:

— Czy król mój, pan mój powrócił? Ucieszył się czy zasmucił, gdy zamiast kochanej żony znalazł dziedziczkę korony?

— Król smutny w swojej komnacie, jeszcze nic nie wie o stracie — odpowiedziała zdziwiona piastunka.

— A macocha z córką swoją gniewu się jego nie boją?

— Wszyscy śpią już w całym dworze, nikt nie czuwa o tej porze.

— O dziecino moja miła, matka cię dziś nie karmiła, w zimnej wodzie spoczywała, północnej doby czekała, by cię utulić, nieboże, zanim ranne wstaną zorze!

To mówiąc bieluchna kaczka wstrząsnęła piórka śnieżyste, które ją niby obłokiem zakryły, i nagle z obłoku tego wystąpiła postać królowej, wzięła dzieciątko na ręce, utuliła, nakarmiła, pieściła i całowała, potem na białej pościółce złożyła i do samej rannej zorzy słodko śpiewała, cicho płakała. A kiedy świt różowy za jaśniał na niebie, obłoczkiem się otuliła, piórkami osypała, i biała kaczka ze złocistym czubkiem kwacząc odeszła.

Król niespokojny o żonę, od rana pospieszył do jej komnaty, zła macocha przystępu wzbronić mu nie mogła, otuliła jedynie córkę aż po oczy, by nie dostrzegł jej brzydoty.

— Jakże się czujesz dziś, kochana żono? — przemówił król serdecznie.

— Lepiej — odparła cicho, ale w tejże chwili szkaradna żaba z ust jej wyskoczyła.

— Co to ma znaczyć? — spytał przerażony monarcha.

Ale macocha więcej mówić jej nie pozwoliła tłumacząc

królowi, że to skutki choroby, które prawdopodobnie z nią razem przeminą. Prosiła także, aby się oddalił, gdyż królowa potrzebuje ciszy i samotności, aby odzyskać zdrowie.

Król poszedł zobaczyć córkę, ucieszył się jej urodą i powrócił do siebie smutny.

O północy biała kaczka ze złocistym czubkiem znów zakwakała pod progiem. Piastunka pospieszyła jej otworzyć, a ona, jak poprzednio, naprzód spytała o króla, potem o złą macochę, wreszcie nakarmiła dziecinę, kołysała ją i śpiewała aż do rannej zorzy.

Dnia następnego król chciał dłużej pozostać przy żonie, lecz wstrętne gady, które za każdym wyrazem z ust jej padały, takim go przejmowały obrzydzeniem, że posłuchał bardzo chętnie rad macochy i oddalił się znowu. Gdy jednak stanął nad kolebką dziecka, łza zaświeciła mu w oku i szepnął zasmucony:

— Dziecino biedna, co się z matką twoją stało!

Usłyszawszy to piastunka do nóg mu padła i opowiedziała wszystko, co zaszło o północy i czego świadkiem była. Król wysłuchał jej, rozkazał nie mówić o tym nikomu i sam przyszedł wieczorem czuwać przy kolebce dziecka.

Gdy kaczka pode drzwiami zakwakała, piastunka otworzyła jej jak zwykle, lecz zobaczywszy króla przy dziecinie kaczka stanęła przy nim i zapytała cicho:

— Gdzie twoje królewskie łóżce? co tu robisz o tej porze? Czy do pierwszej tęsknisz żony? czyś już innej poślubiony?

— Jedną tylko miałem żonę jak to serce i koronę! gdy mnie kocha, niech tu stanie, niech usłyszy me wołanie! — zawołał król grzmiącym głosem.

Kaczka się zatrzepotała, białe piórka osłoniły ją obłokiem, spoza którego ukazała się postać królowej. Król pochwycił ją za rękę i przycisnął do serca.

— Teraz nikt nas nie rozdzieli! — zawołał gorąco — ale biada tym, którzy pokrzywdzić cię chcieli.

Nazajutrz do pokoju mniemanej królowej wszedł król na czele książąt, dworzan i rycerzy. Zła macocha zdziwiona chciała bronić wstępu, lecz król rzekł do niej surowo:

— Na jaką karę zasługuje zdrajca, który czyha na zgubę niewinnej istoty?

— Na karę śmierci — odpowiedziała blednąc i nie domyślając się jeszcze, co to ma znaczyć.

— Jaką śmiercią ma zginąć? — pytał dalej monarcha.

— Taką, jaką chciał zgubić swą ofiarę — odparła znowu macocha nie rozumiejąc pytania.

Wtedy król skinął na sługi i w tej samej chwili związano ją i jej córkę i wyrzucono przez okno do bystro płynącej rzeki, między wysokimi skałami, o które obie roztrzaskały głowy; ciała ich prąd uniósł na głębokie morze, gdzie pożarły je okrutne potwory.

JANEK WYRWIDĄB

W pięknej dolinie, nad srebrzystym strumykiem, u wejścia do wiecznego boru, stał samotny domek ubogiego rolnika, który mieszkał tu z żoną i maleńkim synkiem. Rolnik uprawiał ziemię, żona pilnowała dobytku i porządku w chacie, a maleńki Janek nie odstępował matki i towarzyszył jej wszędzie.

Była to bardzo szczęśliwa rodzina, choć żyli w takiej samotni,

iż mały Janek nie wiedział, że więcej ludzi jest na świecie, a rodzice jego łatwo zapomnieć o tym mogli. Chłopczyk skończył już dwa lata, śliczny, zdrow jak rybka, wesoły jak ptaszek, dobry i posłuszny, pociechą był ojca i matki. Kiedy po długiej zimie nadeszła upragniona wiosna, trudno go było utrzymać przy chacie: chciał iść, gdzie niebo się kończy, gdzie lecą obłoki, gdzie żyją ptaszki i gwiazdki złociste świecą na ciemnym błękicie. W dzień pogodny, jak tylko matka ukończyła ważniejsze prace koło gospodarstwa, wyprowadzał ją do lasu, zbierał kwiaty i roślinki, pytał o czym szumią drzewa, co wiatr opowiada i tak szedł dalej, dalej, pragnąc dojść koniecznie, gdzie las się kończy. Co tam być może za lasem?

I szli raz tak daleko, że dolina i chatka całkiem zniknęły im z oczu, gdy nagle dwóch rozbójników wypadło z zarośli, porwali biedną kobietę i Janka, związali i zaciągnęli do jaskini, ukrytej u stóp góry za cierniowym płotem. Nieszczęśliwa kobieta daremnie ze łzami błagała ich o litość: serca rozbójników kamienne były i twardsze od skały, w której mieli swoje schronienie.

Gdy stanęli u drzwi żelaznych, jeden zapukał w sposób umówiony; wnet otworzyły się ciężkie podwoje i weszli do ciemnego, podziemnego korytarza, który ich doprowadził do wielkiej i ponurej groty. Tu na środku dokoła kamiennego stołu siedziało dziesięciu zbójców; jeden stał przy ogniu, rozpalonym na olbrzymiej płycie i widocznie gotował strawę. Ściany groty zdobiły miecze, włócznie, topory, sztylety i broń wszelaka połyskując złowrogo przy świetle rozpalonego ogniska.

Na wiadomość o niewolnikach herszt powstał ze swego miejsca, zbliżył się do kobiety, popatrzył na nią badawczo, a że

była silna i zdrowa, powiedział jej, że jeśli zajmie się ich gospodarstwem szczerze i gorliwie, to może być spokojną, że nic jej tu złego nie spotka i razem z synem pomiędzy nimi bezpiecznie żyć będzie mogła. Potem nie chcąc słuchać wcale jej próśb ani żalów, kazał dać jeńcom mięsa, chleba, wina, skór niedźwiedzich na postanie i oddalił się do stołu, gdzie dla skrócenia czasu wszyscy grali w kości.

W tej jaskini lat wiele spędził Janek z matką, która pracowała pilnie i gorliwie, a w chwilach wolnych pieściła swego jedynaka, opowiadała mu długie, ciekawe historie o rycerzach i bohaterach i nauczyła go czytać z jednej starej książki, którą w zbójceckiej jaskini znalazła. Na jedno tylko pytanie nie odpowiadała mu nigdy, choć zadawał je coraz częściej: nie mówiła mu nic o ojcu i rodzinnym domu, gdyż nie chciała, aby tęsknił tak, jak ona tęskniła.

— Już ja się i tak dowiem, kto jest moim ojcem, — powiedział jej dnia pewnego i od tego czasu snadź powziął jakiś zamiar, gdyż przestał pytać ją o to.

Kiedy skończył lat dziewięć, wybrał gruby kij sosnowy spomiędzy gałęzi przyniesionych na opał i schował go pod łóżko. Zbójców w jaskini tego dnia nie było: wyszli wszyscy na rabunek. Gdy powrócili o północy, Janek wstał z łóżka, wziął swoją maczugę i zbliżywszy się do herszta rzekł śmiało:

— Powiedz mi, gdzie mój ojciec, bo zabiję cię tą maczugą!

Ale herszt roześmiał się tylko i uderzył go pięścią w głowę, tak że chłopiec nieprzytomny potoczył się głąb jaskini. Kiedy przyszedł do siebie, pomyślał: „Za wcześnie próbowałem swojej siły; rok jeszcze poczekać muszę, potem uda się lepiej”.

Niecierpliwie czekał rok cały. Schował sosnową pałkę i nie

dotykał jej wcale; a kiedy rok upłynął, wy dostał ją znowu, otarł starannie z kurzu i obejrzał na wszystkie strony.

— Dobra maczuga — odezwał się wreszcie — dziś dowiedzieć się muszę coś o moim ojcu.

Usiadł w kącie jaskini i czekał na rozbójników, którzy powrócili o północy, kazali dać sobie wina, zasiedli przy stole, pili i grali w kości do samego rana. Kiedy świtać zaczęło, Janek ścisnął maczugę, stanął przed hersztem i zawołał śmiało:

— Powiedz mi, gdzie jest mój ojciec, albo cię zabiję!

Herszt roześmiał się i uderzył go tak, że Janek upadł na ziemię; ale podniósł się natychmiast, oburącz pochwycił pałkę i zaczął bić z taką siłą, że pozabijał zbójców, połamał im ręce, nogi, poroztrącał głowy i powrócił do matki, która ze swego kącika ze strachem i radością patrzyła na syna.

Nie przypuszczała nawet, że Janek był tak mocny.

— Teraz widzisz — rzekł do niej — że czas, abym wiedział, kto jest mój ojciec i gdzie go mam szukać.

— Chodźmy — odparła matka — zaprowadzę cię do niego, jeśli potrafię sama znaleźć drogę.

Janek wziął wielki worek, napełnił go złotem, drogimi kamieniami i perłami, potem zarzucił go sobie na plecy, zabrał sobie klucze od wyjścia i puścił się z matką w drogę.

Od lat ośmiu nie widział on dnia ani świata, toteż trudno opisać jego zachwyty, gdy wyszedłszy z ciemności, ujrzał las zielony, trawę i kwiaty, usłyszał śpiew ptasząt, uczuł tchnienie świeżego wiatru i spojrzał na błękit nieba. Był tak upojony i szczęśliwy, że całował ziemię i drzewa, krzyczał głośno i biegał ciesząc się trawką każdą.

Matka nareszcie wzięła go za rękę i długo błądząc wśród drzew i zarośli doprowadziła do ślicznej doliny nad szumiącym wiecznie strumieniem i pokazała z dala ich ubogą chatkę. Wieśniak siedział przed nią właśnie naprawiając jakieś narzędzie, a ujrawszy żonę i syna zapłakał z radości. Musieli mu opowiedzieć wszystko co ich spotkało i własnym oczom wierzyć nie mógł patrząc na wysokiego i silnego chłopca, że to ma być mały Janek, którego tak opłakiwał.

Janek, choć nie miał jeszcze lat dwunastu, wyższy był przecież o całą głowę od ojca, a i silniejszy także, bo gdy wszedł do chaty, zdjął worek z pleców i położył na ławie, zatrzeszczała ława dębowa i złamała się we dwoje, worek spadł na podłogę, która zachwiała się także, załamała pod nim i połowa izby zapadła się razem z workiem do piwnicy.

— A toś mię przywitał, synku! — zawołał wieśniak z rozpaczą.
— Całą chatę zniszczyłeś tym jednym głupim workiem.

— Nie troszcz się, ojcze, o to — odpowiedział Janek — więcej wart ten mój worek niż ta cała chata.

I zaraz poszli obaj do piwnicy obejrzyć skarby; potem zbudowali sobie dom nowy, obszerny, wygodny; kupili dużo bydła, pola i łąki przyległe i zaczęli gospodarować. Kiedy Janek szedł za pługiem i prowadził go ręką, woły nie czuły żadnego ciężaru, a gdy zwożono zboże do stodoły, sam ciągnął wóz największy bez żadnego wysiłku.

Po roku jednak rzekł do ojca:

— Kochany ojcze, zatrzymaj sobie złoto i wszystkie skarby rozbójników, a mnie kup tylko sto funtów żelaza, każ z niego zrobić laskę i pozwól iść na kraj świata. Chcę poznać ludzi, spróbować sił swoich i szukać szczęścia.

Ojciec nie mógł się sprzeciwić, więc spełnił życzenie syna i Janek udał się w drogę uściskawszy i pożegnawszy rodziców.

Szedł długo, bardzo długo, ciągle na wschód słońca; mijał góry i doliny, lasy, łąki i pola, aż idąc raz ciemnym borem spostrzegł wysoką sosnę, która chwiała się jak trzcina. Zdziwiony podszedł i spojrzawszy w górę ujrzał siedzącego na drzewie człowieka.

— Co tam robisz? — zapytał Janek.

— Uciekaj, bo sosna spadnie i zabić cię może. Zebrałem zboże z pola i muszę je wymłócić, więc upatrzyłem sobie to drzewko na cepy.

— Głupstwo! — zawołał Janek. — Wyrwij sosnę i chodź ze mną: idę szczęścia szukać. Będziesz się nazywał Młócarz.

— Dobrze! — odparł wesoło siłacz i zeskoczył z drzewa, a Janek ze zdziwieniem zauważył, że o głowę wyższy był od niego.

— We dwóch lepiej nam będzie — rzekł patrząc na towarzysza — kto nas pokona, gdy złączymy nasze siły?

Szli rozmawiając wesoło, gdy wtem jęknęło coś w lesie, ziemia zadrżała od straszego łoskotu, jakby góry pękały od bezustannych gromów. Zdziwieni podróżni skierowali się w tę stronę i ujrzeni olbrzymą, który uderzeniem pięści druzgotał skały i rzucał je z góry w dolinę.

— Co ty robisz? — krzyknął Janek.

— Dom sobie budować będę, bo mi leśne stworzenia zasnąć nie dadzą spokojnie, kiedy się na mchu wyciągnę. Trzy niedźwiedzie zgmiotłem tej nocy, osiem wilków i dwa dziki, bo wszystko to mnie oblaźło na moim posłaniu. Chcę spać

spokojnie, a nie budzić się co chwila.

— Daj pokój — zawołał Janek — szkoda twojej pracy, dom sobie i tak znajdziemy, we trzech będzie nam weselej.

— Może i dobrze mówisz — mruknął olbrzym — powiadają, że wy ludzie więcej od nas macie rozumu, chociaż myśmy silniejsi. Spróbujmy spótki.

Dobrze im było razem. Zabili jelenia i wieczerzę mieli wyborną; potem położyli się spać przy ognisku i każdy z nich kolejno czuwał nad śpiącymi.

Nazajutrz spostrzegli zamek na wysokiej górze; był wielki i wygodny, lecz opuszczony i stary; postanowili jednak zamieszkać w nim tymczasowo. Janek zabił po drodze ogromnego dzika, którym nasycili się wszyscy, a olbrzym złapał żywego niedźwiedzia i ukręciwszy mu głowę oznajmił, iż będzie z niego doskonała pieczeń.

Odtąd tak się ułożyli, iż co dzień inny miał zostawać w domu i gotować obiad, dwaj zaś udadzą się na polowanie, aby zaopatrzyć śpizarnię.

Pierwszego dnia został Młócarz; wsadził niedźwiedzia na rożen, z głowy zaś, wątroby i serca miał ugotować zupę. W ogrodzie ziela było pod dostatkiem na wszelkie jarzyny, a miód pszczół leśnych dopełniać miał ucztę. Zadowolony ze swego pomysłu Młócarz obraca rożen, warzy ziele, gdy na schodach usłyszał jakieś ciche kroki, i w tejże chwili garbaty i kulawy karzełek, z ogromną brodą i złośliwym spojrzeniem, stanął przed nim pokornie prosząc o kawałek mięsa.

Gość niespodziany przestraszył kucharza, który też odpowiedział mu szorstko i z gniewem, że dla włóczęgów do rozdawania nic nie ma. Ale w tej samej chwili garbaty karzełek

jak mały kociak rzucił się na niego drapiąc, gryząc, piszcząc, bijąc, gdzie mu się udało; aż nieszczęśliwy Młócarz, ogłuszony i pokrwawiony, upadł na ziemię wzywając ratunku.

Nikt jednak nie pośpieszył mu z pomocą, bo nikogo w zamku nie było i karzełek nie prędzej puścił swą ofiarę, aż nasycił złość i chęć zemsty.

Kiedy Janek z olbrzymem powrócili z polowania, stół zastali nakryty i obfitą ucztę, lecz o przygodzie z karłem uszkodzony milczał, rad, że jego zastępca sam pokosztuje pazurów dzikiego i złośliwego stworzenia.

Nazajutrz pozostał olbrzym; piekł sarnę i trzy zające, a gdy się zjawił karzeł, spojrzał z obrzydzeniem na potworną postać kulawego garbusa i krzyknął, żeby sobie precz poszedł do nory. Karzeł zamiast posłuchać rzucił się na niego i nim zdumiony olbrzym o obronie pomyślał, podrapał mu twarz i ręce, pogryzł do krwi szyję i uciekł uniknąwszy silnej pięści wroga.

Gdy towarzysze z polowania przyszli, Młócarz od razu odgadł, co się stało, ujrzawszy podrapanego olbrzyma, lecz obaj milczeli pragnąc, aby Janek doświadczył również tej miłej przygody.

Janek zostawszy w domu zabrał się do gotowania, ale zaledwie rozpalił ognisko i rozszedł się zapach pieczonego mięsa, karzeł w kornej postawie stanął przy kominku i prosił o pożywienie.

„Nie mogę skrzywdzić moich towarzyszy — pomyślał Janek — lecz sam mam za wiele i mogę mu ustąpić trochę z mojej części”.

Wziął nóż, ukrajał kawał surowej pieczeni i podał go karzełkowi. Ten pożarł kęs w mgnieniu oka i poprosił go o drugi. Janek ze zdziwieniem spojrzał na małe, łakome stworzenie,

ukrajał jeszcze jeden spory kawał, podał garbusowi i zapowiedział surowo, że teraz powinien być zadowolony. Ale karzeł zjadł znów wszystko chciwie i po raz trzeci powtórzył swą prośbę.

To rozgniewało Janka.

— Precz mi, potworze! — krzyknął — bo cię tak poczęstuję, że mnie popamiętasz.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, karzeł skoczył mu do oczu i byłby go pokaleczył jak Młócarza i olbrzyma, gdyby go młody siłacz zręcznie za kark nie pochwycił i nie zrzucił ze schodów jak natrętne zwierzę. Nagle przypomniał sobie, jaki błąd popełnił puszczając karła wolno, więc pobiegł co tchu za nim, lecz spostrzegł go już tylko z daleka, gdy zniknął w rozpadlinie między skałami.

Janek wrócił do kuchni, ugotował obiad, a wieczorem opowiedział wszystko towarzyszom, którzy zdziwieni, że mu tak szczęśliwie poszło, przyznali się teraz, co ich od karła spotkało. Janek naśmiał się do woli i rzekł im na koniec:

— Dobrze wam bardzo, zasłużyliście na to; nie trzeba było żałować biednemu stworzeniu kawałka mięsa. Teraz wstyd wam został!

Kiedy się nasycili, wzięli kosz, laskę zrobioną ze stu funtów żelaza i udali się na poszukiwanie kryjówki karła, gdyż wiadomą jest rzeczą, że w takich skrytkach olbrzymie można znaleźć skarby. Pnąc się na górę doszli wreszcie do szczeliny wąskiej, ciasnej i ciemnej, w którą trzeba było się spuścić. Przywiązano kosz do sznura, Janek wsiadł do kosza razem ze swoją laską i spuszczonego go w przepaść.

Jechał długo, bardzo długo wśród zupełnej ciemności, na

koniec stanął na gruncie. Tu znalazł drzwi żelazne bardzo sztucznie zamknięte, lecz wyważył je sztabą, a gdy upadły, olśnił go blask cudny, napełniający tę podziemną grootę. Płynął on z góry, choć nie można było poznać, skąd pochodzi. Pośród tej jasności raził oczy blask diamentów i drogich kamieni, którymi wysadzane były ściany groty. Wkoło przy ścianach stały kryształowe skrzynie, z których każda pełną była innych kosztowności: w tej złoty piasek, w drugiej perły, tam rubiny, szafiry, szmaragdy, brylanty, skarby, jakich żaden może monarcha nie posiada. A w głębi na wysokim tronie ze złota i słoniowej kości siedziała cudna dziewczica. Jej złociste włosy spływały aż do ziemi ciężkimi zwojami, a lśniły jak promienie słońca. Na głowie miała diadem brylantowy, brylantowy naszyjnik świecił blaskiem tęczy na jej prześlicznej szyi, przejrzysta szata z białej, cienkiej gazy utulała jej postać jakby mgłą srebrzystą, lecz na rękach i nogach dźwigała złote kajdany, a w spojrzeniu jej czarnych oczu malowało się tyle smutku i błagania, że Jankowi na jej widok serce się ścisnęło.

Wtem spostrzegł karła, który stał przy tronie z przestraszeniem i zdziwieniem mierząc go oczyma.

— Czym mogę cię wybawić z tej niewoli, królowo? — zawołał Janek zbliżając się do tronu.

Smutna dziewczica nie odpowiedziała, ale spojrzenie jej padło na karła, i w tejże chwili Janek silnym uderzeniem swej stufuntowej laski zabił go na miejscu. Złote kajdany same opadły z dziewczicy, a z jej oczu popłynęły łzy radości.

— Dziękuję ci, mój wybawco! — zawołała wyciągając ku niemu ręce. — Jestem królewską córką, a ojciec mój chyba umarł z rozpacz, gdy wróg nasz porwał mnie z zamku i osadził

tu w tej jaskini pod strażą złośliwego karła. Nie umiem ci opisać, ile wycierpiałam i jak wdzięczną ci jestem, żeś mię ocalił na koniec.

Janek wzruszony byłby jeszcze długo wypytywał się o losy przecudnej dziewczicy, ale przypomniał sobie, że towarzysze jego oczekują znaku życia i gotowi odejść, jeśli nie da im znać o sobie. Umieścił więc królownę w koszu i szarpnął za sznur gwałtownie. Wyciągnięto ją natychmiast i kosz powrócił znowu. Lecz Janek nie dowierzał towarzyszom; raz już nieszczerze z nim postąpili, więc mógł się spodziewać, że i teraz będą chcieli go pokrzywdzić. Zamiast więc wsiąść do kosza, położył tylko swoją laskę. I dobrze zrobił, gdyż podniósłszy kosz wysoko Młócarz i olbrzym puścili go nagle i gdyby Janek w nim siedział, zabiłby się na miejscu.

Zasmucony usiadł teraz na progu komnaty pełnej nieprzebranych skarbów i zaczął myśleć, jaki los go czeka. Towarzysze najwidoczniej zdradzili go i odeszli zabrawszy piękną królownę, a on czyż ma umrzeć tutaj głodową śmiercią? w tak młodym wieku, obok tak cudnych klejnotów?

Spojrzał dokoła, wszystko jaśniało radośnie, tylko zabity karzeł niby ciemna plama leżał nieruchomy u stóp tronu, na posadzce z kości słoniowej.

Wtem na palcu zabitego coś zamigotało i Jankowi błysnęła myśl szczęśliwa. Pochylił się nad nim szybko, zdjął brylantowy pierścień, włożył na serdeczny palec i obróciwszy szybko szepnął:

— Chcę być na górze.

W mgnieniu oka coś go porwało i wyniosło na miejsce, gdzie się znajdowała szczelina; lecz nie było tu już nikogo.

— Chcę być w zamku — pomyślał Janek i w tejże samej chwili znalazł się w zamku, gdzie również daremnie szukał śladów dziewicy i wiarołomnych przyjaciół.

Zrozpaczony zdjął pierścień i rzucił o ziemię, gdy wtem zjawił się przed nim duch w mglistej postaci i pokornie szeptał, czego żąda.

— Chcę wiedzieć, gdzie jest królowna i towarzysze moi.

— Za siódmą górą, za dziesiątą rzeką, płyną po morzu na srebrnym okręcie z purpurowymi żaglami i bursztynowym wiosłem. Okręt kupili sobie za naszyjnik królewny.

— Chcę być na morzu! — zawołał głośno nasz bohater podnosząc pierścień.

Niewidzialna potęga uniosła go w powietrze tak gwałtownie, iż prawie utracił przytomność, a gdy ją odzyskał, stał już na okręcie z żelazną maczugą w dłoni wobec zdradzieckich wrogów.

W uniesieniu gniewu rzucił się na nich natychmiast, ale Młócarz i olbrzym także silni byli, więc rozpoczęła się walka uparta, w której Janek jak lekką trzcinką wywijając swą maczugą druzgotał wszystko dokoła. Wkrótce olbrzym wpadł w morze z roztrzaskaną czaszką, Młócarz z odtrąconą głową leżał na pokładzie, a Janek krwią zbryzgany, lecz dumny ze zwycięstw, odszukał pod pokładem w perłowej kajucie zemdloną królownę i skrapiając wodą jej skronie usiłował ją przywrócić do życia.

Gdy odzyskała zmysły, uśmiechnęła się radośnie i zawołała:

— Drogi mój wybawco, dwa razy ocaliłeś mię z ciężkiej niewoli, teraz już tylko jedno mam życzenie: pomóż mi

odzyskać rodziców!

Nie było w tym nic trudnego. Janek przywołał ducha, dowiedział się, gdzie mieszkają rodzice królowny i kazał się do nich zanieść. Naturalnie, że szczęśliwi z odzyskania córki, chętnie przyjęli go za zięcia i posłali z nim wierne sługi do jaskini karła, skąd zabrano szczęśliwie wszystkie skarby i klejnoty.

Przez trzy dni trwało wesele królowny, na którym obecni byli i rodzice Janka. Wszyscy życzyli szczęścia młodej parze, która też dziękowała wszystkim najserdeczniej i tak uprzejmie przyjmowała gości, iż cały tydzień trwała wesoła zabawa.

Potem się goście rozjechali, a młody król i królowa rządzić zaczęli mądrze i szczęśliwie.

LEW-KRÓLEWICZ I JEGO ŻONA

Pewien bogaty książę wyjeżdżając w daleką drogę rzekł do trzech córek:

— Drogie dzieci, nieprędko się zobaczymy... Co chcecie, abym wam przywiózł z podróży?

Jedna z nich żądała naszyjnika z pereł, druga diademu z brylantów, ale najmłodsza, jego ukochana pieśczołka, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

— Ojczulku, ja niczego więcej nie pragnę, tylko śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami.

Ojciec obiecał spełnić ich życzenia; podróżował rok cały, zwiedzał dalekie kraje, kupił pereły i diamenty, ale śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami na całym świecie znaleźć nie mógł.

Już powracał do domu zmartwiony tym bardzo, że nic nie wiezie dla swojej pieszczotki, gdy droga mu wypadła przez las bardzo stary, pośród którego ujrzał wspaniały zamek, przed nim dąb rozłożysty ze złotymi żółędziami, a na dębie śpiewającego skowronka ze złotym dzióbkiem i złotymi pazurkami.

Uszczęśliwiony książę zawołał na sługi i kazał im pochwycić ptaka; lecz zaledwie jeden z nich zbliżył się do drzewa, podniósł się lew złotogrzywy, spoczywający spokojnie na szmaragdowym trawniku i zaryczał tak groźnie, iż drzewo zadrżało, posypały się złote żółędzie na ziemię, a skowronek uleciał wysoko w obłoki.

Zadrżeli słudzy, książę cofnął się zdumiony, a lew przemówił głosem grzmiącym i surowym:

— Kto chciał mi ukraść ptaka, zginąć musi.

I rozdziawił paszczę straszliwą ukazując olbrzymie zęby.

— Nie wiedziałem, że ptak ten należy do ciebie — odparł książę przerażony — ptaki latają swobodnie po świecie i niczyją nie są własnością, lecz jeśli mi go odstąpisz, zapłacę ci chętnie, ile sam tylko zażądasz.

— Złota twego nie pragnę — odpowiedział lew dumnie — a za zły zamiar zginąć musisz, chyba że mi przysięgniesz oddać na własność pierwszą istotę, jaką spotkasz za powrotem do domu. W takim razie mogę ci nawet darować ptaka.

Książę zasmucił się bardzo, gdyż przyszło mu na myśl, że jego najmłodsza córka zwykle pierwsza wybiegała naprzeciw niego, gdy powracał. Lecz z drugiej strony obawa strasznej i bliskiej śmierci nie pozwalała mu wahać się dłużej, więc kiedy wierny sługa szepnął, iż zdarzyć się może, że pies lub inne stworzenie powita go pierwsze, dał się namówić i przyrzekł, czego lew wymagał.

Wówczas skowronek spuścił się z obłoków, usiadł na ramieniu księcia i dobrowolnie dał się zabrać do jego kraju.

Książę spieszył z bijącym sercem, pełen niepokoju, kto go powita pierwszy, a gdy ujrzał najmłodszą, ukochaną córkę wybiegającą ku niemu wesoło, z płaczem zaczął ją ścisnąć i całować nie mogąc znieść widoku jej radości, z jaką pochwyciła zaraz śpiewającego skowronka.

— Czego się smucisz, mój ojczy? — zapytała wreszcie zadziwiona jego łzami. — Szczęśliwie powróciłeś z dalekiej podróży i zamiast cieszyć się z tego razem z nami, martwisz się, jakby cię wielkie nieszczęście spotkało.

— Nie mogło spotkać mnie większe — odparł zrozpaczony książę; — ciebie, najdroższe dziecko moje, przyrzekłem oddać dzikiemu zwierzęciu, lwu okrutnemu, aby własne ocalić życie.

I opowiedział jej wszystko, co zaszło w owym odwiecznym lesie, gdzie znalazł skowronka. Dziewczę wysłuchało ojca, potem uściskało go serdecznie.

— Dobrze zrobiłeś, ojczulku — zawołała swobodnie — cóż bym poczęła, biedna sierota, bez ciebie? Lwa nie lękam się wcale, ułaskawię go, zobaczysz, dobrym słowem ułagodzę i wyproszę sobie, że mi pozwoli wrócić do mego ojczulka.

Książę chciał ją zatrzymać i nie spełnić obietnicy, choćby miał utracić życie, lecz dziewczeczka stanowczo oparła się temu utrzymując, że danego słowa trzeba dotrzymać koniecznie.

Nazajutrz rano udała się w drogę. Wierny sługa towarzyszył jej do zamku wskazując drogę, a gdy ujrzał dąb stuletni ze złotymi żołędziami zawrócił i odszedł, aby nie być świadkiem śmierci ukochanej pani.

Lew ujrzawszy księżniczkę powitał ją grzecznie i zaprowadził do wspaniałej komnaty, gdzie stół oczekiwał nakryty. Stały na nim najpyszniejsze potrawy i napoje w złotych i srebrnych naczyniach, usługiwało jej dwunastu paziów, a lew siedział po lewej stronie i rozkazywał wzrokiem lub skinieniem łapy. Po skończonej uczcie uprzejmie ją powiódł do pokojów dla niej przeznaczonych i prosił, aby wypoczęła. Sam oddalił się natychmiast, lecz gdy noc zapadła, zjawił się w ludzkiej postaci i oznajmił dziewczycy, iż jest królewiczem zaklętym przez potężnego czarodzieja i dopóki słońce świeci, musi nosić lwią skórę, w nocy zaś, wśród ciemności, człowiekiem być może.

Dzieweczka ucieszyła się niezmiernie z tego niespodziewanego odkrycia, gdyż nieszczęśliwy królewicz podobał się jej bardzo. Urządzono więc wspaniałe wesele, a gdy rozjechali się goście, państwo młodzi postanowili spać od świtu do zmroku, a od zmroku do świtu żyć jak wszyscy ludzie.

I było im dobrze. Dnia pewnego jednak lew rzekł do żony:

— Jutro wesele twojej najstarszej siostry, jeśli chcesz odwiedzić ojca i być na zabawie, moje lwy cię odwiozą i zaczekają na ciebie.

Młoda królowa zgodziła się chętnie, mąż odprowadził ją aż do granicy swego państwa, potem wrócił do domu; ona zaś zajechała przed ojcowski zamek w złotej karecie, przez cztery lwy ciągnionej.

Wielkie było zdziwienie i radość w książęcym domu, kiedy najmłodsza córka opowiadała o sobie. Wszyscy myśleli, że zginęła dawno w pazurach lwa okrutnego, toteż stary książę aż osiwiiał ze zmartwienia, a widząc ją teraz nie mógł jej się napatrzeć i nasłuchać jej głosu.

Po weselu kazał córce pozdrowić zięcia z całego serca, a liczny orszak towarzyszył jej aż do granicy, gdzie sam lew wyszedł na spotkanie żony.

W jakiś czas potem przysłano do zamku zaproszenie na wesele drugiej siostry; lecz królowa rzekła do męża:

— Nie pojedę sama, nie chcę rozstawać się z tobą; proszę cię, jedźmy razem.

— To niepodobna, droga żono: wiesz, że w ciemności przybieram tylko postać ludzką, gdyby wtedy padł na mnie promień światła, zamieniłbym się w gołębia i przez lat siedem musiałbym z gołębiami latać.

— Nie lękaj się, najdroższy mężu; potrafię cię tak uchronić, że żaden promyk światła nie padnie na ciebie; a pomyśl, jak mi będzie miło być z tobą pod jednym dachem!

Lew uległ prośbom żony; zabrali z sobą synka, który się niedawno urodził i pojechali do rodziców królowej, którzy na życzenie córki kazali w jednej z komnat pałacowych zamurować wszystkie okna i przeznaczyli ją na mieszkanie zięcia. W dzień był pomiędzy nimi w postaci króla zwierząt.

Trzeciego dnia po przybyciu młodej pary do zamku odbywało się świetne wesele. Orszak jechał do kościoła ze światłami i pochodniami, a ponieważ nikt nie spostrzegł, że w jednej z okiennic zamurowanej komnaty była maleńka szparka, cieniuchny promień światła padł na zakłętego króla i nieszczęśliwy w mgnieniu oka zamienił się w gołębia.

Gdy królowa powróciła z družkami i panną młodą, naprzód pobiegła do pokoju męża, ażeby go uściskać i opowiedzieć wszystko, lecz zamiast męża ujrzała gołębia, który przemówił do niej:

— Stało się, czego lękałem się właśnie; przez lat siedem w tej postaci muszę krążyć teraz po świecie, ale co siedem kroków upuszczę pióro białe i kroplę krwi czerwonej, a jeśli pójdziesz za tym śladem, możesz wybawić mnie po siedmiu latach.

Usłyszawszy to królowa w głos się rozplakała, lecz otarła łzy natychmiast, bo gołąbek frunął z miejsca i trzeba było spieszyć za nim, szukać śladów, aby naprawić winę swej lekkomyślności i wybawić ukochanego małżonka. Więc biegła nie oglądając się wcale za siebie, nie patrząc w górę, śledząc tylko pilnie białe piórka i czerwone krople krwi, które padały co siedem kroków na ziemię.

I tak biegła lata całe nie myśląc o niczym, nie wypoczywając prawie, żywiąc się tym tylko, co przy drodze przypadkiem znaleźć mogła i nie płacząc, aby oczy nie straciły drogiego śladu. Zdarło obuwiu dawno z nóg jej spadło, stopy poraniły ostre ciernie i kamienie, królewskie szaty zamieniły się w łachmany, piękne włosy kurz przysypał, słońce spaliło białą skórę na jej twarzy, — ale ona nie czuła bólu, ani umęczenia, nie wstydziła się łachmanów, w których wyglądała na żebraczkę, nie żałowała swej piękności ani młodego wieku, tylko wciąż biegła i biegła przed siebie, ścigana trwogą, by nie stracić śladu, w którym pokładała ostatnią nadzieję.

Już rok siódmy dobiegał do końca, siły biednej kobiety niknęły z dniem każdym, ale nie słabła miłość w jej gorącym sercu i ona dodawała jej siły i otuchy. Tak niedługo już, tak niedługo! Tyle czasu, trudów za tobą, przed tobą mała chwilka...

Wtem nie spostrzegła przed sobą ani białego piórka, ani kropli czerwonej i stanęła przerażona. Spojrzała w górę i nie

dostrzegła gołąbka: nie ma go pod obłokami, ani nad cienistym lasem, ani na szczycie góry; gdzież się podział, gdzie zniknął mąż jej ukochany?

Łzy zasłoniły jej oczy, ale cóż łzy pomogą? A dokoła nikogo, tylko jasne słońce płynie spokojnie po błękitnym niebie.

Więc wyciągnęła ręce do złotego słońka i zawołała:

— Słoneczko, słoneczko, co płyniesz tak wysoko, aż pod obłokami i całą ziemię złotym okiem widzisz: powiedz mi, gdzie mój biały gołąbek się podział! Czy wypoczywa na wysokiej skale, czy wpadł w przepaść głęboką, że dojrzeć go nie mogę? Powiedz mi, słońko złote, słońko moje!

Słońko rozejrzało się po szerokim niebie, sięgnęło promieniami w głębsze przepaści, lecz nie dostrzegło nigdzie białego gołąbka i ze smutkiem odpowiedziało królowej:

— Nie, nigdzie go nie widzę, nigdzie dostrzec go nie mogę; nie ma go w żadnej przepaści, nie ma go na niebie. Żal mi ciebie, biedna kobieto, weź ode mnie to złote jabłko i pomyśl o nim, gdy będziesz w potrzebie.

Zapłakała biedna królowa, ale łzy nic nie pomogą, więc zwróciła się do księżyca, który z kolei zaświecił na niebie i zawołała:

— Miesiączku mój srebrzysty, miesiączku kochany, co rośną brylantową zsyłasz biednym kwiatom, ulituj się nad niebogą, spojrzysz na lasy, pola, które śpią cicho w srebrnym twoim blasku i powiedz mi, czy nie widzisz gdzie gołąbka mego!

Srebrny miesiąc uważnie spojrział na lasy, pola, lecz nie dostrzegł gołębia i odpowiedział smutnie:

— Żal mi ciebie, biedna kobieto, lecz nie ma twego gołębia

ani na równym polu, ani w gęstym borze; gdzie indziej go szukać musisz. Oto masz ode mnie to jajeczko srebrne; przypomnij sobie o nim, gdy będziesz w potrzebie.

Biedna królowa załamała ręce i zapłakała gorzko, łzy jednak nic nie pomogą. Otarła oczy i zwróciła się z prośbą do potężnego wiatru północnego:

— Wietrze potężny, którego się lęka każde żyjące stworzenie, ty, który w zimie osypujesz drzewa szronem brylantowym, a podczas lata pozwalasz okrywać się im listkami, aby je jednym tchnieniem rozwiać po świecie w jesieni! wietrze, co wszędzie jesteś i znasz całą ziemię, lądy i morza, powiedz mi, powiedz, czy nie widziałeś mojego gołąbka?

— Nie — odparł wiatr północny; — w mojej lodowej ojczyźnie go nie ma; ale żal mi ciebie, nieszczęśliwa królowo i spytam braci moich, wiatrów z innych stron świata, może oni go widzieli.

I zahuczał posępnie, a na ten głos wiatr wschodni, zachodni i południowy wnet przybiegli do niego i rozpoczęli taniec powitania, który opanował ziemię i obłoki, aż wszystko się złączyło w jeden wir szalony druzgocąc lasy i ludzkie siedziby, stojące im na drodze.

Wiatr północny jednakże surowym spojrzeniem uspokoił młodszych braci swawolników i spytał, czy nie widzieli na świecie przelatującego białego gołąbka?

Wiatr wschodni i zachodni nie widzieli go wcale, ale wiatr południowy, najłagodniejszy ze wszystkich, przemówił cichym głosem:

— Kochany bracie, widziałem białego gołąbka, leciał ku mnie daleko, aż na Czerwone morze, ale ponieważ upłynęło już

siedem lat pokuty, więc stał się lwem i w tej chwili musiał rozpocząć walkę z olbrzymim smokiem, który rzucił się na niego, a ten smok, to królowa czarodziejka, która chce go uczynić swoim niewolnikiem.

— Słyszałaś? — rzekł wiatr północny do królowej. — Teraz dam ci jeszcze radę: spiesz zaraz nad Czerwone morze; tam na prawym brzegu zobaczysz zielone różdżki wyrastające z piasku. Porachuj dobrze, zetnij jedenastą i uderz nią smoka po grzbiecie, a wówczas obaj zapaśnicy odzyskają ludzką postać i mąż twój będzie mógł pokonać przeciwnika. Następnie nie oglądaj się wcale, siadaj razem z królem na śnieżnego łabędzia, który pływa po Czerwonym morzu, a on was na miękkim grzbiecie doniesie do brzegu. Tutaj masz złoty orzech, nie zapomnij o nim: gdy łabędziowi sił zacznie brakować, rzuć go natychmiast w morze, a z głębi wyrośnie wielkie orzechowe drzewo, na którym wypoczniecie wszyscy. Inaczej łabędź nie mógłby donieść was do brzegu.

Usłyszawszy to nieszczęsna królowa podziękowała dobremu wiatrowi, potem zaczęła biec co sił starczyło do Czerwonego morza. Z daleka ujrzała walczącego lwa ze smokiem i zielone różdżki na wybrzeżu. Uważnie przeliczyła dziesięć, jedenastą zerwała drżącymi rękoma i z całej siły uderzyła smoka. Natychmiast lew i potwór przybrali ludzkie postacie, lecz zamiast walczyć dalej, czarodziejka-królowa pochwyciła w ramiona swego przeciwnika, siadła z nim razem na śnieżnego łabędzia, popłynęli po modrej fali i wkrótce zniknęli z oczu nieszczęśliwej żonie.

Biedna królowa zapłakała gorzko, ale łzy nic nie pomogą, więc otarła smutne oczy i postanowiła iść znowu choćby na kraj

świata, dopóki nie odzuka męża.

I szła długo, bardzo długo, aż przybyła do zamku, w którym jej powiedziano, że ma się odbyć wesele królowej z młodym królewiczem, który niedawno przybył z dalekiej podróży. Czyżby to był właśnie jej mąż poszukiwany?

Usiadła na progu zamku i czekała, aż się ukaże, a kiedy wyszedł do ogrodu obok królowej, poznała go zaraz i krzyknęła z trwogi i szczęścia; ale on spojrzał na nią obojętnie i minął nie poznawszy. Skądże miał odgadnąć, że ta żebraczka, kurzem i pyłem okryta, z pokrwawionymi nogami, w łachmanach, jest żoną jego, matką jego dziecka, która przez lat siedem biegła za śladem jego po świecie? A może czarodziejka-królowa pamięć o niej mu odjęła?

W tych smutnych myślach pogrążona królowa przypomniawszy sobie nagle o złotym jabłku, danym jej przez słońce. Gdy noc zapadła, otworzyła je ostrożnie i znalazła cudowną szatę z promieni słonecznych, tak jaśniejącą, że wzrok olśniewała. Były tam oprócz tego i trzewiki i wszystko, co do stroju potrzebne, więc obmywszy się w kryształowym strumieniu rozczesała złote włosy, włożyła słoneczną suknię i udała się do zamku, gdzie zaproszeni goście zasiadali do uczyty. Na jej widok wszyscy powstali, sam królewicz zbliżył się do niej, lecz narzeczona wnet go zawołała, z dala posadziła przy stole, a zachwycona suknią ze słonecznych promieni, kazała swojej służebnej zapytać, za jaką cenę kupić by ją mogła.

— Krwi za złoto nie sprzedaję — odparła królowa — lecz powiedz twojej pani, że oddam jej suknię, jeśli mi pozwoli jutro zanieść śniadanie do pokoju królewicza.

Czarodziejka narzeczona przeczuła w tym jakiś podstęp, lecz

nie chcąc się wyrzec sukni przyjęła warunek, tylko przedtem własną ręką przygotowała napój, który postawiono na noc w pokoju królewicza. Skoro przyszedł spać po wieczerzy, rozkoszny zapach przygotowanego wina wzbudził w nim takie pragnienie, że wypił duszkiem puchar cały, a gdy nazajutrz o zwykłej godzinie biedna królowa weszła ze śniadaniem, zastała go śpiącego twardo. Zbliżyła się do łóżka, nachyliła się nad mężem i cicho, smutnie szeptać mu zaczęła:

— Obudź się, królu, panie! Oto przez lat siedem szłam za tobą na kraj świata przez wichry i burze; słońca, księżyca, wiatru pytałam o ciebie; smoka zieloną różdżką uderzyłam; czyż możesz zapomnieć o mnie, o naszej dziecinie? Obudź się, mężu, królu, spojrzysz na mnie!

Lecz daremnie błagała płacząc gorącymi łzami; napój czarodziejski królewny był silniejszy niżeli jej skargi, niż łzy gorące, które na czoło uśpionego padały.

Upłynęła godzina, słudzy weszli do pokoju i królowa wyjść musiała. Pobiegła do ogrodu, skryła się między drzewami i płakała tak rzewnie, iż trawa słońcem spalona pozieleniała w tym miejscu na nowo. Ale cóż łzy pomogą?

Wtedy przypomniała sobie o jajku srebrzystym, które otrzymała od księżyca i rozbiła je o kamień.

Wtem z jajka wypadł mały brylantowy pajęczek na srebrnych nóżkach i dwie rubinowe mrówki. Pajęczek zaczął okręcać się w kółko, snuć nitkę brylantową i srebrną, a mrówki z tej cudnej przędzy tkwały tak przejrzystą, cienką i świecąca tkaninę, że oczy się mrużyły patrząc na nią i nic piękniejszego nigdy nie było na świecie.

Ucieszyła się królowa, zabrała z sobą mrówki i pajaka, poszła

na zieloną łączkę naprzeciw okien królowny, a gdy pajączek zaczął snuć cudowną przędzę, a mrówki tkać z niej materię piękniejszą od księżyca, czarodziejka-królowna zobaczyła to z okna i posłała swoją służebną zapytać, za jaką cenę można kupić pajączka i mrówki.

— Krwi za złoto nie sprzedaję — odparła królowa — ale powiedz twojej pani, że oddam jej to wszystko, jeśli mi pozwoli dzisiaj posłać łóżko dla królewicza.

Oburzyła się czarodziejka przeczuwając w tym podstęp, ale pragnęła posiadać cudownego tkacza, więc przyjęła ten warunek, tylko własną ręką przygotowała napój, który po wieczerzy kazała podać królewiczowi, gdy będzie wracał do swego pokoju.

A przy wieczerzy sama spytała narzeczonego:

— Jakże ci wczoraj smakowało wino, które ci posłałam na noc.

— Boski trunek! — odparł królewicz — ale sny po nim musiałem mieć smutne, bo mi było ciężko na sercu, kiedy się obudziłem.

— Nie pij dzisiaj tak wiele — odparła królowa; — rozkazałam służącemu, abyś miał to samo wino.

I przyprawiła mu wieczerzę w taki sposób, aby w nim wzbudzić pragnienie.

Tymczasem biedna królowa poszła słać łóżko mężowi, a przechodząc przez pokój, w którym stał pokojowiec, ujrzała puchar z usypiającym napojem.

— Jakiż to śliczny puchar! — zawołała — powiedz mi, kto pić będzie z niego?

— Pić będzie młody królewicz, narzeczony pani naszej, aby miał sny spokojne.

— Pozwól mi umaczać usta w tym napoju, abym wiedziała, co królowie piją, a dam ci ten pierścień rubinowy; oddasz go swej narzeczonej, a będzie cię kochała aż do śmierci.

Kamerdyner zobaczył pierścień z prześlicznym kamieniem, połyskującym jak czerwona iskra i chcąc go posiąść pozwolił skosztować napoju. A królowa lekko usta umoczyła i łąkę w napój upuściła, a potem spiesznie weszła do królewskiej komnaty. Tu jednak senność ogarnęła ją tak wielka, że upadła przy łóżku jak nieżywa.

Kamerdyner cierpliwie czekał jej powrotu, a słysząc, że królewicz już nadchodzi, chciał ją wyprowadzić co prędzej z pokoju. Spostrzegłszy martwą czy uśpioną na podłodze, przestraszył się bardzo, usunął ją w kąt, zastawił ławką i nakrył jeszcze dywanem. Następnie pospieszył naprzeciw królewicza i podał mu puchar.

Królewicz z przyjemnością poniósł napój do ust, lecz za ledwie go skosztował, wypluł wszystko, mówiąc, że nie znał dotąd tak gryzącej goryczy.

— Przynieś mi czystej wody — rzekł do służącego siadając już na łóżku i w tej chwili zasnął, gdyż sam zapach napoju usypiał najsilniejszego człowieka.

Lecz na głos męża zbudziła się nagle królowa, wyszła z ukrycia, pochyliła się nad nim i szepnęła:

— Królu, mój mężu, oto przez lat siedem szłam za tobą na kraj świata; słońca, wiatru, księżycy pytałam o ciebie; smoka zieloną różdżką uderzyłam; czyż możesz zapomnieć o mnie, o naszej dziecinie? Obudź się, mężu! obudź się, mój królu!

I gorąca jej łza spadła na czoło uśpionego.

W tej chwili zbudził się nagle, poznał żonę swoją i przycisnął ją do serca.

— Dziękuję ci! — zawołał — tyś mnie wybawiła, teraz dopiero jestem ocalony: odzyskałem pamięć, poznałem cię, żono moja, pamiętam o dziecku naszym, o, czymże ci się za wszystko wywdzięczę!

— Wracaj ze mną — szepnęła szczęśliwa królowa.

Wracać nie było łatwo, gdyż czarodziejka-królowna nie puściłaby zdobyczy, dlatego postanowili uciec tej samej nocy.

Królowa wyszła w pokornej postaci, król pozornie udał się na spoczynek jak zwykle, lecz gdy wszyscy zasnęli, wyszedł oknem do ogrodu; tam połączył się z żoną i pobiegli razem do Czerwonego morza. Gdy świt zajaśniał, ujrzeli śnieżnopiórego łabędzia i natychmiast wsiedli na niego.

Ptaka niósł ich po modrej fali, gdy czarodziejka-królowna ścigając ich mściwie spostrzegła z daleka; lecz roześmiała się tylko, zerwała zieloną różdżkę, rzuciła w wodę i powróciła do zamku, pewna, że łabędź wkrótce straci siły i utonie razem ze swym ciężarem.

I rzeczywiście wkrótce osłabł tak, że nie mógł już płynąć dalej, a byli na środku morza, na głębi niezmierzonej. Lecz królowa szybko rzuciła w wodę złoty orzech i natychmiast prześliczne orzechowe drzewo ukazało się na wodzie. Łabędź odpoczął na nim i popłynęli dalej.

Jakaż była ich radość, gdy przybywszy na zamek księcia, zastali synka zdrowym, silnym chłopcem! Zabrali go do siebie, do zamku pod złotym dębem i odtąd żyli szczęśliwie i bez

żadnej troski.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

